

Andrzej Walter

Siła łagodności

Odejście poety wyjątkowego, poety zaangażowanego, poety, dla którego poezja była bezdyskusyjnym faktem, czymś więcej niż przerywaniem ciszy, była słowem świętym i krzakiem gorejącym naszego świata, a może nawet... wszechświata, rozumiejąc pod tym pojęciem całą tęczę barw i niuansów naszej duchowej złożoności, to odejście to po prostu rodzi ból, rodzi ogromne poczucie osierocenia i rodzi pewien specyficzny rodzaj pustki intelektualnej powstałej na miejscu wyrwy jak lej po bombie.

Odejście Adama Zagajewskiego było właśnie takim odejściem. Nieco niespodziewanym, biorąc pod uwagę fakt, że w końcu, po długich namowach zgodził się pod koniec ubiegłego roku, na udzielenie mi obszerniejszego wywiadu na przeróżne tematy: poezji, twórczości, spraw egzystencjalnych oraz wszelkich ważnych dla pisarza-artysty problemów nas dotyczących. Cieszyłem się na tę rozmowę, ale jak już ostatnio niemal notorycznie na przeszkodzie stanęła nam znów nieszczęsna pandemia. Umówiliśmy się po zniesieniu *lockdownu* (w sensie choćby po otwarciu lokali kawiarniano-herbacianych), co ostatecznie nie nastąpiło. (Tak to właśnie pandemia, a właściwie decyzje władz niszczą kulturę – wydarzenia, które mogłyby coś powiedzieć, coś dać ku przemyśleniom, refleksjom...).

No cóż, taki los, wielka szkoda, gdyż wierzyłem, że to będzie wywiad jeden z najlepszych, najciekawszych i nietuzinkowych, słowem wyjątkowy, taki, jak wyjątkowy byłby jego bohater w postaci poety wielkiego formatu. Niestety załem nie zastąpi się generalnie żadnego oczekiwania, ani tym bardziej Osoby.

Adam Zagajewski wzbudzał kontrowersje. Zwłaszcza ostatnio, angażując się w politykę, prawo, świat idei, świat europejskich złudzeń intelektualnych, świat objawiony europejskiej lewicy. Jednak wielu go po prostu nie rozumiało, albo nigdy nie doczytało do końca, czy nie dosłuchało do końca, całościowo, pełniej. Sermowano urywkami wypowiedzi, wierszem na zamówienie Michnika, czy też pozornymi deklaracjami opowiedzenia się po jakiejś stronie sporu. Nie słyszano już tych wypowiedzi, które jakby się klóciły z jedną wykładnią, z jednym, prymitywnym osądem, kasowano w percepcji to, co nie pasowało do całości.

Adam Zagajewski pomimo wyraźnej może tendencji, jak już zauważyłem, nieco lewicowej, był ewidentnie ponad tym, był ponad topornym, plemiennym sporem światopoglądowym transponowanym na spór: polityczny, publiczny, atawistyczny i ludyczny. Zagajewski stanął po prostu tam, gdzie... hen, hen, dawno, dawno temu stanął

niejaki pan Sokrates, a to bardzo – jak wiemy – ciężka i niewdzięczna, nad wyraz niezrozumiała pozycja do objawień dla ludu. A ludem nazwałbym całą dzisiejszą pseudointeligencję i pseudoelitę, kasty profesorskiej z niej nie wyłączając.

Dlaczego zatem tytułuję to wspomnienie „siłą łagodności”? Skąd łagodność, skoro poruszamy tu, takie jak wyżej, kwestie i sprawy? Otóż, Adam Zagajewski „wiedział, że nic nie wie”. Miał w sobie ogromną dawkę pokory, spokoju wewnętrznego, łagodności właśnie i absolutnego braku skłonności do kategorycznego stawiania spraw, raczej wyrażało się to: ironią, żartem, zakamuflowanym prześmiewnym stylem propagującym intelekt ponad siłę masowości, ale, aby jeszcze teraz problem skomplikować, zanurzyć w duchu praw i osiągnięć renesansowości doświadczeń Zagajewski promował u schyłku swojego życia pomnik dla praw stanowionych ludzką ręką prawniczą jako esencję naszej wolności.

Faktu, że miał w tym pełną słusność doświadczyliśmy dziś na własnej skórze, tylko coraz mniej wolno o tym mówić i stąd muszę sam nawet uderzyć się dziś w pierś i odszczekać swą krytykę tego nieszczęsnego, niepotrzebnego w sumie wiersza „Kilka rad dla nowego rządu”, w którym było być może więcej gniewu i złości niż metaforyki poezji. Okazuje się, że nie do końca, a tylko wielu z nas po prostu nic nie zrozumiało. I wiele tamtych szyderstw dziś, po czasie, powiedzieliśmy w myślach sami sobie i wobec... zaistniałych wydarzeń i sytuacji.

Nie chcę wracać szczegółowo do tego wiersza. Wracać tak, abyście i wy wracali. Dziś jednakowoż szczydził bym z tego rządu jeszcze mocniej. Ze wszystkich rad pozostanie nam dramatycznie jedna, z innej bajki, mianowicie taka, że:

*Poetów można zostawić w spokoju,
i tak nikt ich nie czyta.*

No właśnie, ale i poetów też nie pozostawiono w spokoju, gdyż jak wszystkich nas, i poetów pozamykano w klatkach domów i w klatkach swoich intelektualnych poszukiwań. Na salonach królują beniaminkowie – rekiny (wybaczcie obrazę dla rekinów): Morawiecki z Obajtkiem i jemu podobnymi kelerami systemu, których jedyną cechą jest wyrachowany strach, wpatrywanie się w sępki poparcia i serwilizm polityczno-społeczny. Zero planu, zero sensu, zero refleksji. Pędzimy na oślep pędem stadnym i mało zaradnym (warto do nich dołączyć jeszcze tego pajaca z ministerstwa zdrowia, który wraz z lekarzami celebrytami wykończył służbę zdrowia)...

A wielcy poeci po cichu odchodzą. I tylko żal nam pozostaje, tylko gorycz i smutek uświadomionej przemijalności wraz z bezsilnością nieistotności.

Śmierć Adama Zagajewskiego to kolejny cios. Cios w kulturę, cios w mądrość i intelektualną niezależność artysty wobec współczesności, wreszcie cios w wolność sumień i wolność słowa ukrytą również w poezji. Jest to cios bez zadającego, bez winnych, cios sprawczy, jak i sprawcza jest siła ważnych słów wobec walca motłochu, który serwuje nam się w prymitywnie klekanej medialnie propagandzie. Kolejny głos rozsądku i namysłu zamilkł. Niestety. Na zawsze.

Zagajewski, jakby na Niego nie spojrzeć nie był już tym poetą, co: Herbert, Miłosz, czy Różewicz, był kimś innym, może z tamtej XX-wiecznej perspektywy kimś mniejszym, ale z perspektywy XXI wieku (dla naszego dojrzewającego wciąż pokolenia) może nawet kimś większym, ważniejszym, nowocześniejszym, nie wiem, to już zapewne oceni historia, a zwłaszcza historia literatury. Zagajewski nie mówił wprost, nie wykladał na tacy, nie owijał też w bawełnę – kto chciał, rozumiał i czuł, że On, właśnie On, przerywa tę ciszę. Tyle, że mówi i pisze do głuchych, albo dopiero co ogłuchłych marionetek, bez oczu, uszu, a zwłaszcza sumień i bez olśnienia wolności, tej prawdziwej wolności, niezależnej i czystej. Zwłaszcza od decyzji i wizji politycznej.

Zagajewskiego oręż metafor spoczął na zaszczepianiu myśli, na sadzeniu ziaren rozważań na polach intelektualnych dociekań. Trudna to była mowa, nawet pod pozorem najprostszej. Wieloznaczna i wymagająca. Uciążliwa i zaprawiona goryczą. Taka nieuchwytna, jak analiza naszej rzeczywistości, oparta na wiedzy, doświadczeniu, czerpania z wydarzeń, przeszłości i historii, ale bez kwalifikacji, szufladkowań czy klaustrofobii jednego, jedyne punktu spojrzenia. Mowa wielowątkowa nasączona przeszłością, zwrócona melancholijnie ku przyszłości, a jednocześnie jakoś nazywająca, osadzająca nas w tu i teraz mocniej niż wszelki inny przekaz dziś nam serwowany wszem i wobec.

Zagajewskiego pozycja poety światowego na to pozwalała, na to się ukierunkowywała, aby wyrażał On polską duszę wobec duszy świata, jeśli ten świat w ogóle jeszcze coś tak trywialnego posiada, bądź chce posiadać.

Adam Zagajewski nie skarżył się, że nie dano mu zabawek, że wypychano go poza szereg, że często stawiano go za kurtyną,

(Dokończenie na stronie 4)